

Bartosz Jastrzębski: Żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu

„Europa zagrożona jest fałszywym rozumieniem samej siebie. Owa fałszywa Europa uważa, że w swoim obecnym kształcie stanowi wypełnienie naszej cywilizacji; tymczasem tak naprawdę chce zająć nasz dom” – czytamy w Deklaracji Paryskiej. Ogłoszony w październiku dokument stał się bodźcem do wymiany listów pomiędzy pisarzami: Krzysztofem Doroszem i Bartoszem Jastrzębskim. Dzięki uprzejmości autorów, publikujemy ich korespondencję, zapraszając do wspólnej refleksji na europejskim domem

Przeczytaj list Krzysztofa Dorosza do Bartosza Jastrzębskiego

Drogi Krzysztofie,

Oczywiście znany mi jest tekst Deklaracji Paryskiej. Jej powstanie uważam przy tym, za inicjatywę ważną i cenną, wskazującą, iż są jeszcze w Europie umysły światłe – w najlepszym tego słowa znaczeniu – i przytomne, świadome w pełni realnych zagrożeń naszego europejskiego domu, widzące dalej, poza obszar całkiem teraźniejszych sporów i trosk codziennych. Pod tekstem Deklaracji gotów jestem się z czystym sumieniem podpisać, bo też i nie znajduję w nim nic, co wskazywałoby na niejasną, tendencyjną czy podejrzaną ideologiczną

treść. Oczywiście, jak każda deklaracja, tekst jest dość ogólny i niewolny od skrótów myślowych czy nawet, jak je nazwałś, konserwatywnych „zakłęb”. Pytasz czy istotnie jest to już tylko „czarowanie” rzeczywistości, z konieczności nieskuteczne rytuały uzdrowicielskie nad już zmarłym albo też – w najlepszym razie – *wishful thinking*. Wydaje mi się i mam nadzieję, że nie. Wierzę w siły żywotne kultury europejskiej, wierzę w witalność klasycznych ideałów, które wszak sprawdzały się przez wiele stuleci w praktyce wychowawczej, moralnej, poznawczej i twórczej. Europa jest zmęczona – przyznają autorzy Deklaracji. I to prawda. Nawet bardzo zmęczona, bo wiele ciężkich ciosów na nią spadło, a co gorsza, sama sobie ona je w lwiej części zadała. Utraciła przeto wiarę w siebie, więcej jeszcze – w niektórych środowiskach – siebie znienawidziła, co bez trudu rozpoznajemy w nietajonych idiosynkrazjach unijnej technokracji czy lewicowo-liberalnych „proroków” nowego wspaniałego świata (którego jedyną przeciwwagą może być co najwyżej mityczny już despotyzm Putina – *tertium non datur*). A jednak, moim zdaniem, mylą się ci, którzy gotowi są pleść już żałobne wieńce czy odprawiać nad Starą Europą taniec zwycięstwa. Zgromadzony przez tysiąclecia intelektualny, moralny, kulturalny i społeczny kapitał nie uległ bowiem jeszcze wyczerpaniu: choć mocno nadszarpnięty tragediami XX stulecia, pełen jest wciąż głęboko ukrytych bogactw. Trzeba jednak chcieć do nich sięgnąć, trzeba wykonać wielką pracę w skali całego kontynentu, by odsłonić zapomniane pokłady kulturowych treści i pokarmów. Jeśli bowiem nie odsłonimy ich, to ujawnią się wcześniej czy później zasoby europejskiej brutalności, które przecież nie wyparowały, lecz czają się pod powierzchnią, gotowe eksplodować jeśli ktoś (lub my sami) doprowadzi europejskie ludy do desperacji. Nie powinien drażnić Europy ten, kto nie chce być zmuszony do spojrzenia w końcu w jej obnażone kły. Nie doprowadzajmy – my sami, Europejczycy - do sytuacji, w których przebudzą się nasze mroczne instynkty. Bądźmy przeto nieskazitelni jak gołębie, ale roztropni jak węże (Mt 10,16).

*Żeby prawdziwie powstać
musi Europa odnowić więź
Tradycji. Ta więź ma naturę
religijną*

Żeby natomiast
prawdziwie powstać
musi Europa
odnowić więź
Tradycji, o której
piszesz. Ta więź ma
naturę religijną.

Albowiem to zawsze z Tego, co transcendentne spływają żywotne soki, dzięki którym kultury i wytworzone przez nie cywilizacje mogą trwać, rozwijać się i kwitnąć. Bóg jest samym Istnieniem i Życiem i kto się odeń odwraca traci jedno i drugie. Przeto kultury, które nie wierzą w siebie i w swych bogów – giną. W pewnym sensie automatycznie, bo wiara w siebie, w swą wartość i posłannictwo (w bycie znakiem Nieskończoności w świecie czasu i historii), jest niezbędna do trwania zarówno jednostek, jak i wielkich społeczności. Piszesz, że nasz Bóg odszedł – czy raczej myśmy odeszli od Niego – że milczą nasze symbole, że głucho brzmią nasze pieśni i modlitwy, że puste są dziś nasze ołtarze. Możliwe. Ale wierzę, iż jeśli nawrócimy się do Niego – wówczas i On nie odwróci od nas swego oblicza.

Taka jest więc istota kryzysu – utrata więzi między człowiekiem a Transcendencją, niegdyś tak silnej, a dziś będącej – na wielkich obszarach kultury i społeczeństwa – nieledwie tylko wspomnieniem. Z tego faktu wypływają wszelkie pozostałe choroby, o których wspominasz Ty i sygnatariusze Deklaracji. Prawdą jest bowiem to, co piszesz o naszej współczesnej cywilizacji, określając ją jako – co do treści – wyzutą z głębi, a zarazem faustyczną w swym namiętym poszukiwaniu władzy nad naturą wszechrzeczy, w tym także nad naturą ludzką, którą chce lepić, przekształcać i stwarzać na nowo, podług własnego – a nie Bożego - *fiat*. Prawdą jest także, iż stało się coś

niepokojącego nie tylko z naszymi duszami, ale i twarzami, na które wypełził jakiś ponury grymas zawziętości, wiecznej walki jedynie o siebie i to, co swoje, o swoją rację i indywidualność. Owa indywidualność bowiem – indywidualność za wszelką cenę, oryginalność na śmierć, radykalna „mojość” – stała się naszym bogiem, erzacem życiowego sensu i podporą słabującej z braku Boga egzystencji. Stąd też owa wszechobecna niemal bufonada i duchowe sobkostwo, które zżerają resztki prawdziwej wiary i prawdziwej religii, co tu i ówdzie się jeszcze zachowały. Sami, być może, do pewnego stopnia temu ulegamy, sądząc, iż nasza korespondencja może zainteresować kogoś prócz nas samych...

Indywidualność za wszelką cenę, oryginalność na śmierć, radykalna „mojość” – stała się naszym bogiem, erzacem życiowego sensu i podporą słabującej z braku Boga egzystencji

Wyznam Ci
Krzysztofie, że
nieraz głęboko
zmęczony jestem
tym naszym
światem. Choć może
on zawsze był taki?
Może na tym właśnie
polega jego upadły
stan, a my dziś tylko

idealizujemy „dawne, dobre czasy”, rozpaczliwie szukając śladów jakiejś rzekomej cywilizacji chrześcijańskiej, naszego – chrześcijan – Złotego Wieku? Wielu, bardzo wielu tak sądzi. Znam ja dobrze - i Ty również – realia dawnych wieków: wszystkie biedy, nieszczęścia, plagi, nieurodzaje i wojny, które dręczyły dawny świat. Wiem, że ludzie żyli krótko, podejmując mordercze fizyczne wysiłki w pracy i walce, a w dodatku niejednokrotnie musieli straszliwe i niczym nie łagodzone katusze już to chorób, już to ran, a bywało, że i wymyślnych tortur. A mimo to uważam, że „mieli lepiej”, w pewnym sensie łatwiej, że

bardziej i ściślej byli „sklejeni” z własnym bytem, że ich doznawanie świata pozbawione było tego poczucia smętnej jałowości, owej wszechkosmicznej i fundamentalnej zbędności, tego żrącego jak trąd braku odniesienia do tego, co wieczne i absolutnie prawdziwe. Że byli wolni od tego rodzaju neurotycznej refleksyjności, który jest i całkiem zbędny i głęboko szkodliwy, a który dziś toczy nas jak robak.

Jeślibym coś miał dodać do Twoich spostrzeżeń, to może jedynie uzupełnił listę przyczyn, które do owego nieszczęsnego zerwania doprowadziły. Słusznie wskazujesz na przebudzenie owego Lucyferycznego *non serviam* właściwego czasom renesansu. Trafnie też zwracasz uwagę na różne formy ówczesnej „magii” – począwszy od tych, które magią pozostały, jak alchemia, a skończywszy na tych jej formach, które z czasem przekształciły się w nowożytnie, matematyczne przyrodoznawstwo, za którym z kolei poszedł iście oszałamiający rozwój techniki. Problemem stała się tu emancypacja rozumu – bez wątplenia. Rozum miał za zadanie odczarować świat i zalać go swym światłem. Wywiązał się ze swego zadania aż za dobrze. Ale ów odczarowany kosmos okazał się bardzo smutny, a światło to zimne i niedające otuchy. Miało ogrzewać – a nie ogrzało nikogo. Projekt totalnej emancypacji rozumu od początku był chybiony, choć niełatwo było zrazu to dostrzec w zalewie jego spektakularnych (choć częstokroć pozornych) sukcesów, a i dziś jeszcze wielu niełatwo to przyznać. Zauważyć sobie jednak pozwolę, iż ten, którego się o wprowadzenie owego zastrzyku nadmiernego racjonalizmu do chrześcijańskiego krwiobiegu oskarża, Tomasz z Akwinu, raczej starał się ową emancypację powstrzymać. Jej rzecznikami były natomiast takie postacie jak Sieger z Brabantu i jego zwolennicy. „Rozumieli oni i propagowali Arystotelesa – jak wskazuje Josef Pieper – przyjmując jako zasadę zupełną obojętność wobec prawdy objawienia chrześcijańskiego. Taką zasadę nazwał Gilson 'filozofizmem'. Chodziło

tu o dwie sprawy: po pierwsze – uprawianie filozofii jest zasadniczo niezależne i oddzielne od teologii i od wiary. Pierwszy raz od czasów Augustyna i Boecjusza zaprzeczano możliwości powiązania *ratio et fides*. Czynią to duchowni i to najpoważniejszej akademii chrześcijaństwa. Po drugie - ta nowa, autonomiczna filozofia, wbrew definicji, jaką miała od czasów Pitagorasa (szukaj prawdy), uważana była wprost za mądrość, za zbawczą doktrynę”[1]. Tego rodzaju separacja musiała w końcu doprowadzić – i doprowadziła – do w pełni rozwiniętej teorii dwóch prawd, a więc stanowiska, wedle którego coś może być prawdziwe z religijnego punktu widzenia, a równocześnie całkiem fałszywe na gruncie rozumu naturalnego (i odwrotnie) – i taką sytuację należy zaakceptować bez zbędnego szemrania. Akwinata mocą całego swego geniuszu zwalczał tę doktrynę, przeczuwając wyraźnie, iż doprowadzi ona do zepchnięcia porządku wiary do głębokiej defensywy, ograniczenia (do dziedziny moralnej) zakresu jego obowiązywalności, a w konsekwencji do Wielkiego Zerwania, o którym piszesz. Innymi słowy, choć dziś wydaje się on nam niekiedy skrajnym racjonalistą, to w drugiej połowie XIII wieku był pełnym umiaru zwolennikiem szukania przyjaznej harmonii pomiędzy rozumem a wiarą. Kościół mądrze przyjął jego filozofię, sądząc, iż stanowi ona roztropny kompromis pomiędzy rosnącymi poznawczymi ambicjami człowieka, a porządkiem pokory i miłości, właściwym stosunkowi wobec transcendentnej względem rozumu nadprzyrodzoności. Tak się jednak nie stało. Ani tomistom, ani Kościołowi nie udało się zaprząć rozumu w imię zbożnej sprawy i opanować jego faustycznych pragnień i prometejskich fantazji. Nie pomogły ani perswazje, ani indeksy, ani nawet karzące nieraz okrutnie odstępców i heretyków świeckie ramię ortodoksji.

*Projekt totalnej emancypacji
roзумu od początku był
chybiony, choć niełatwo było
zrazu to dostrzec w zalewie
jego spektakularnych
sukcesów*

Tym bardziej, iż w XV już wieku Kościół faktycznie pogrążył się w wewnętrznym zamęcie i kryzysie. Potrzebował duchowej odnowy, do której nawoływał czy to Savonarola,

czy to Jan Kapistran. Kluczowym miało się jednak okazać dopiero wystąpienie Marcina Lutera, który zręcznie wykorzystał polityczną szachownicę ówczesnych Niemiec – a przez to zachował przy życiu siebie i swoje teologiczne idee. Choć przypuszczam, iż w znacznej mierze się tu ze mną nie zgodzisz, to jednak nie mogę nie wyznać, iż moim zdaniem winę za Wielkie Zerwanie ponosi w znacznej mierze Reformacja. Nie negując jej dobrych zrazu intencji, przypomnieć też muszę, że samo *inferno* jest nimi ponoć wybrukowane. W czym tkwi ta wina?

W wygnaniu Boga. Po pierwsze, w przepędzeniu Go z natury. Nacisk położony na dal i transcendencję, z czasem przyczynił się do postrzegania Go jako bardzo odległego, to zaś przyspieszało radykalną sekularyzację tego, co tu i teraz, co bliskie i ziemskie – tu bowiem Boga nie ma, są za to inne sprawy, weksle i papiery dłużne choćby. Tym bardziej, że w duchu walki z „rozumem scholastycznym”, zadekretowano niejako separację wiary i rozumu, przy czym wiara, podobnie jak Bóg, jej przedmiot, wnet stała się czymś dalekim, a przede wszystkim całkiem od nas niezależnym (radykalna predestynacja), a więc efemerycznym i nieuchwytnym. Rozum natomiast stawał się zaś coraz bardziej bliski, namacalny i przydatny – zwłaszcza wtedy, gdy

gwarantował polityczną siłę oraz materialny dobrobyt. Po drugie, odrzucając Tradycję, rozwijanie się rozumienia Boskiego Słowa w Historii, zeświecczono także i ją – a tym samym zanegowano działanie w niej Opatrzności. Skoro Bóg, wypowiedziawszy ostatecznie swe Słowo, przestał objawiać się w dziejach, skoro nie mówi do nas inaczej niż przez Pismo, to, w pewnym sensie, dzieje się zakończyły i można się zająć przyziemnymi całkiem sprawami. Prorocy już wszak nie przemówią. Boża Historia stała się zaledwie małą historią (głównie zresztą ludzkich podłości). I po trzecie w końcu, rozbijając jedność chrześcijaństwa Reformacja spowodowała pogłębienie się lokalnych odrębności (z czego wyrośnie w XIX wieku tak morderczy w skutkach nacjonalizm), a zarazem wymusiła pluralizm polityczno-światopoglądowy (jako wynik pokoju westfalskiego), na którego glebie wyrośnie z kolei liberalizm. To przecież protestanci – tam, gdzie przegrali, np. we Francji – zaczęli żądać dla siebie wolności religijnych i światopoglądowych, a zatem oddzielenia Kościoła i Państwa. Z tego rozdzielenia wyrośnie świeckie Państwo, będące wiernym sługą Mamony. Dziś widzimy w jaki sposób owe żądania tolerancji i świeckości mogą stać się tyranią tolerancji i ateizmu – i przyczyniać się do Wielkiego Zerwania.

Fundamentalizm już do nas przyszedł. Pozostaje nam zadbać, by był to fundamentalizm Bożej, a nie diabelskiej sprawy

Z konieczności uogólniam i upraszczam – ale forma listu nie pozwala na więcej. Poświęciłem więcej miejsca sprawie protestantyzmu, bo

ją w swoim tekście dyskretnie przemilczałeś. Ale nie chodzi oczywiście dziś o to, by się licytować kto zawinił bardziej. Rozmyślanie nad

przyczynami zerwania ma sens o tyle, o ile pomoże nam uniknąć błędów przeszłości, a niektóre z nich – jeśli Bóg pozwoli – naprawić! Do tego też, jak się wydaje, nawołują autorzy Deklaracji.

Nasz dzisiejszy świat, naciskany z Południa przez ludy żarliwe i zdesperowane, nie przetrwa jeśli nadal będzie usiłował karmić się żalonymi imitacjami Boga i karykaturami Zbawiciela, o których piszesz, jeśli na swych ołtarzach nadal czcić będzie wybujały, neurotyczny egotyzm z jednej strony, a materialny dobrobyt za wszelką cenę zdobywany z drugiej. Zbyt słabe to bożki – i zbyt trujące dla swych wyznawców – by podtrzymać przy życiu jednostkę, nie mówiąc już o całej kulturze Zachodu. Potrzeba dziś radykalnego zwrotu, na skutek którego błędy zeświecczonego liberalizmu zostaną ostatecznie potępione i odrzucone. Niejeden powie, iż wzywam do religijnego fundamentalizmu, przez który wylewano ongiś morza krwi. Odpowiem na to: fundamentalizm już do nas przyszedł, choć często jeszcze tego nie dostrzegamy. Pozostaje nam tylko (i aż!) zadbać, by był to fundamentalizm Bożej – a nie diabelskiej sprawy!

Serdeczności

B.

Przeczytaj list Krzysztofa Dorosza do Bartosza Jastrzębskiego

Tekst Deklaracji Paryskiej

[1] J. Pieper, Tomasz z Akwinu, przeł. Z. Włodkova, Kraków 1966, s. 100.